

DAREK FOKS

Wiersze o fryzjerach

DAREK FOKS

Wiersze o fryzjerach

[Dedykacja]

Dominice

[Motto]

*Once I am sure there's nothing going on
I step inside, letting the door thud shut.*

Philip Larkin, Church Going

Kartografia

John Donne w kawałkach

Dlaczego okładka przypomina wycieraczkę?
Co decyduje o zwycięstwie ciemnej plamy
nad moją udreńczoną pamięcią?
Czy notatka o trzech policjantach i zakonniczy,
zabitych przez IRA w Belfaście,
była twoją zakładką? Dlaczego

Elegie żegnają się chłodno z całą resztą
i lądują na podłodze, kiedy tylko zatęsknię
za którąś z nich? Dlaczego nie mogą
pożegnać się z moją ulubioną *Pchłą*
i jej angielską matką,
którą miałem nadzieję w końcu poznać?

Dlaczego próbowałaś przebić się przez *Sonety*
papierosem? I dlaczego zatrzymałaś się
na piątym, pozostałe sklejjając czymś,
co powoduje, że mój pies ociera się
o twoje podejrzone nogi, kręci ogonem
i zaczyna oblizywać się bezczelnie?

Epifania

Wytrwale doskonalimy się w rysowaniu nowego wizerunku tej, którą umiłowalesz najbardziej. Mamy odrobinę miejsca na próchniejących pulpitych: skąpy dar hojnych absolwentów. Następnym razem Hiob i jego kumple z pierwszej ławki usiądą z tyłu, by nam dorównać lub przegrać. Dzisiaj, odurzeni szumem za plecami, poddają się twoim wytyczającym szlak słowom, i widzą ślady na źle sklezionej mapie Ziemi Świętej. Wszystkie warkoczki znieruchomiały i nikomu nie przeszkadza, stary katecheto, że w wizji, którą sprzedajesz, Galilejczyk chodzi w pantoflach; nasze serca wciąż walą za mocno.

Wodowanie

Goethe dotyka ramienia Schillera, słyszę szept: „Fryderyku, popatrz przez chwilę tam, gdzie patrzy ten młody człowiek, co, nie zważając na niepogodę, zdecydował się zamoczyć spodnie, by posiedzieć u naszych stóp”. Fryderyk jednak nie odrywa oczu od gęstych chmur nad Weimarem, a Johann Wolfgang jest w błędzie: tak naprawdę tylko on przybrał dobrą pozę. Nie patrzę w obiektyw, bo patrzę na dużego faceta z teczką, który przerwał dobrze opłacany marsz przed Deutsches Nationaltheater, żeby zmierzyć moje zwisające, bezczynne ręce. Robi to okiem kogoś, kto ma na zbyciu dwa solidne wiosła, i ostatecznie może mi je sprzedać za pół ceny, a nawet, jeśli posiedzę tu dostatecznie długo, oddać za darmo. Jest 1984 rok, handel wiosłami kwitnie, więc mówię: „Spływamy”. I spływamy.

W wieży Babel

Pamięci J. L. Borgesa

Był to najbardziej powalający
ze znanych nam obrazów
znenawidzonej przez wieczność
kultury konsumpcyjnej,
więc nie pozostało nic innego
jak podejść bliżej i dać się
przewrócić. W takim miejscu
upadek nie jest czymś
niezwykłym: upadasz, wstajesz,

otrzepujesz spodnie i wychodzisz
z kieszeniami pełnymi
wierszy Johna Berrymana,
które wyprułeś żyłką
z oniemiałego miesięcznika, albo
tak jak ja, z „New Yorkerem”
pod swetrem, bo nie miałem
żyłki, a w środku był wiersz
Yellow Flowers Jamesa Schuylera.

Zasrana historia Darka Foksa han- dlarza starzyzną

Teraz, kiedy nie ma Becketta
a wesoła muzyczka
bez przekonania czci kolejne
jak zwykle niezbyt udane
zmartwychwstanie Chrystusa
właśnie teraz musiałem
przypomnieć sobie o TRAGICZNEJ
HISTORII HAMLETA KSIĘCIA
DANII sprzedanej za psie pieniądze
kumplowi, najlepszemu kumplowi,
to zmusza do postawienia
kilku zasadniczych pytań, wiem
że tego rodzaju sprawę
możesz załatwić tylko ty
Luftwaffe, gdziekolwiek jesteś
masz czas do jutra

17 IV 90

Gruby nie żyje

Sponiewierane moimi zaklęciami drzwi
prawie nie stawiają oporu; odsłaniają
to, co zawsze: stopy pism, w których zdjęcia
zajmują więcej miejsca niż litery, bezskutecznie
domagający się wyłączenia telewizor, i czapkę,

czapkę z daszkiem. Kiedy ją naciągnął
po raz pierwszy i zobaczył się w ukochanym
lusterku z Hansem Klossem, wiedzieliśmy już,
jak będzie brzmiała jego ostatnia wola:
„Pochowajcie mnie w mojej czapce z daszkiem.

I nie zapomnijcie o lusterku”. Nie zapomniałem.
Poczułbym się lepiej, gdyby w końcu
wilgotny ślad oddechu osiadł na szkle,
bo nie wiem, jak wytropić telefon,
a na łysiejącego Brutusa nie ma co liczyć:

wlepił smutne gały w zaczarowany stół,
na którym leży mało używany hamburger z baru
za rogiem, gdzie tyle razy siedział
przywiązany do latarni, i oznajmiał światu,
że śniadanie Grubego się przedłuży.

Tłumacząc „Pana Tadeusza” na but- garski

Tysiąc lat prześladowań i nagle
rodzę się ja. Jeszcze ćwierć wieku
prześladowań pod pomnikiem Wdzięczności
i znowu się rodzę. Tym razem
jest więcej hałasu
i są dziewczyny. Dużo dziewczyn,
które swego czasu prześladowano
z bardzo dziwnych powodów.

Zapytał grzecznie: „Człowieku, i ty
nazywasz to poezją lat dziewięćdziesiątych?”
Powiedziałem: „Nazwę to
Dziennikiem Anny Frank
pierwszej połowy przyszłego stulecia,
pod warunkiem, że jesteś samochodem
i wywieziesz mnie
do Amsterdamu, kapralu”.

Kartografia

Jak jakiś Marco Polo
z przeludnionego Żyrardowa
wiercę dziurę za dziurą
w sklepieniu czaszki
i myślę o szybkim pojednaniu
z milczącą naturą,
bez którego niemożliwe
jest nie tylko sporządzenie
przyzwoitej mapy,

ale i posiadanie butów.

Chyba wiercę nie tam,
gdzie powinienem,
bo nie jestem w stanie
przypomnieć sobie, która skarpeta
jest dziurawa. Nie mogę
poprosić o drugi, jeżeli
nie przymierzyłem pierwszego.
Nie mogę zdjąć prawego,
jeżeli lewa jest w porządku.
Gość obok przymierza czwartą parę.

Gość obok jest gościem, który
jest obok. Chcę tu zostać
i patrzeć na wielkie cycki,
które prawie dostałem z butem.
Chcę znaleźć miejsce, gdzie można
przymierzyć prawy wielki cycek.
Chcę uporać się z dziurawym światem,
zanim oczy nad cyckami
powiedzą: „Wiercisz
nie tam, gdzie powinienes”.

Z szesnastokartkowego zeszytu w swa- styki

*Wrocławskim Zakładom
Wyrobow Papierowych*

Gdzie jest Księżyc?
Co stało się
ze Słońcem? Dlaczego pies
nie jest już najlepszym
przyjacielem człowieka?

Dlaczego to biedne stworzenie
nosi na szyi tabliczkę
z napisem: MOŻESZ MNIE POGŁASKAĆ
TYLKO W OBECNOŚCI MOJEGO
WETERYNARZA? Dlaczego napis
został wygrawerowany gotykiem?

Co każe małym chmurom
przybierać kształty
dużych zwierząt,
które dawno wymarły?

I kto mi powie,
do cholery,
skąd ja to wszystko wiem?
Przecież jest ciemno.

Zalany Priap

Wystarczy powiedzieć jedno niewłaściwe słowo,
by któryś z epizodów twojego dzieciństwa
[trudno mi uwierzyć, że kiedyś byłeś dzieckiem]
schylił się i uderzył swoim tępym łbem
w mój zmyłony obiadem brzuch. Poleżę
i pozwijam się trochę dla przyzwoitości,
tylko żeby mi to był ostatni raz.

Czy to moja wina, że kilkuletnim dziewczynkom
też chce się sikać i muszą wstawać w nocy?
Gdybyś wtedy mogła wytrzymać do rana,
twój ojciec nie straszylby cię teraz
przy byle okazji. Wiem, że to nic przyjemnego
oglądać starego, nagiego człowieka, ciągnącego wódkę
prosto z butelki, o pierwszej, w kuchni,
w zimnym świetle lodówki [w zimne światło

wierzę]. Ale po co zaraz opowiadać
niedorzeczną historię o tym, jak twoi dziadkowie,
Dionizos i Afrodyta, ukradli go
razem z wózkiem? Już dobrze. Oddaj żarówkę,
nie lubię, kiedy w naszej lodówce jest ciemno.

Uścisk umierającego

Jeśli wierzyć przekazom ustnym,
na tym sedesie siadywała
pierwsza dama polskiej poezji. Kotek,
który zrobił tu swoje przede mną,
zostanie współbohaterem niezłej elegii.
Z pokładami gołębiego gówna na balkonie
zmagala się cała antologia liryki kobiecej.
Książka, którą przeglądam,
to prawdziwy dowód milczenia Różewicza
[ja też milczę po niemiecku]. Obrazy
w pracowni po drugiej stronie korytarza
są martwe jak rybie
głowy [tej zbrodni nie ujawnią
nekrologi], które usiłują połknąć
małą część wszechobecnego kurzu.
Droga powrotna do pokoju,
w którym ktoś jednak sprząta,
powoli wylatuje mi z pamięci,
bo za dużo myślę
o przekazach ustnych.

Łowcy jeleni

Chodź, przyjacielu, ocalimy coś
dla potomnych. Co sądzisz
o tym panu, oddającym mocz w bramie,
z którą łączy nas tak wiele wspomnień?
Powiem mu, że to nieładnie,
a ty w tym czasie nakryjesz go
jak należy. O, właśnie tak! Trzymaj
mocno siatkę i uważaj, żeby
nie obtarł marynarki [ładna rzecz,
wczesne lata sześćdziesiąte], a ja
zaraz wracam, tylko skoczę
po większą szpilkę.

Rozkład dnia

Planeta przysiadła z wrażenia
na wytartym siodełku
i drży. Przeżywając wszystko
w ten sposób, może się
nieźle poobijać. Ta lepsza
połowa gliniarza mówi, żebym
nie przerywał sobie spaceru.

W porządku, będzie sam
jak zrozpaczony pasterz,
grzebiący patykami w kościach
dawno nie widzianego stada.
Mrówki znalazły dzwonek
i pracują ciężko nad jego
tajemniczym zamilknięciem.

Zardzewiały łańcuch pękł
i pełźnie teraz w świat,
ciągnąc za sobą czarną nitkę
z nogawki złodzieja. W pobliżu
jest gałąź, która też pęknie,
jeśli nie sfruną z niej
ptaki z dużymi dziobami.

Wiersz dłuższy

Kopniak w dupę dla Maćka Chetmickiego

szczerze mówiąc kopniaki w dupę dla wszystkich dokoła

James Joyce, z listu do brata, 7 grudnia 1906

W 1984 roku, kiedy Marcin Świetlicki
odbywał zasadniczą służbę wojskową
[co zaowocowało m. in. *Laurką z eszelonu, Słupskiem 84*
i *Baczyńskim*], z pobliskiej biblioteki
wyniosłem *Eseje* Alberta Camusa,

drugie polskie wydanie, solidne wydanie
w czarnej okładce [trudno wyobrazić sobie
inny kolor] i, naciągnąwszy na siebie czarny sweter
przystąpiłem do ostatecznej rozprawy ze światem.
Podobno przekład ocenowano,

ale nigdy nie chciało mi się ustalić,
czy to prawda. Jak zwykle, zostawiłem sprawę
w połowie. Brak broni etc. [wystarczyło zdjąć gacie
i rozewrzeć pośladki, żeby znalazła się broń].
Głupio by było, gdyby któryś z ludzi Boga

położył ciepłą dłoń na moim ramieniu i rzekł:
„Wracaj, chłopie, bo rozwaliłeś sobie łeb
przez jakiegoś ciemniaka. Poczekaj parę lat,
albo naucz się francuskiego, to pogadamy”.
Pozostałoby mi słowo „poczekam”. I prawie

sto niebezpiecznych szczebli. Czy po to
nie wchodziłem, żeby teraz wysłuchiwać
opowieści o egzemplarzu kolejnego wydania,
który towarzyszył ci w pierwszych ostatnich chwilach?
Przecież ty nie lubisz wchodzić po drabinie,

a co dopiero z niej schodzić. Popatrz,
nawet porządnie nie skleili. Nie rycz,
kupię ci nową. Pełno tego w księgarniach.
Kupię i oddam do introligatora. Później
udam się do łapiducha i zapytam,

czy to możliwe, żeby te prochy działały
tak długo, bo wkurza mnie twoje:
„Jesteś podobny do Tadeusza Borowskiego,
kiedy się golisz”. Kiedy się golę, jestem
uzbrojony. Kiedy się golę, mówię

jak Reagan i Wałęsa w jednym [nic dziwnego,
że jestem uzbrojony]. Kiedy się golę, nie jestem

podobny do Tadeusza Borowskiego. Kiedy się golę,
do złudzenia przypominam faceta, który
nie dostanie kawy, jeśli się nie ogoli.

Znam kilku, którzy się nie golą, a są
podobni do mnie. Zwą ich brodacami.
W 1986 roku, kiedy Marcin Świetlicki
odbywał zasadniczą służbę wojskową,
spotkałem Krzysztofa Jaworskiego [siedział

za mną i uczył się angielskiej składni].
Łamaną polszczyzną zapytałem o przeszłość.
Odpowiedział: „Owszem, zdjąłem gacie
i rozwarłem pośladki, ale nikt mi nic
nie wkładał. I nie dostałem broni”.

Przerwano nam. Za oknem przeszła Matka Rzeczywistość
w białym fartuchu narzuconym na mundur.
Ciągnęła za sobą krótkowłosego mężczyznę,
zaciskającego zęby na jej łydce.
Był to Wojciech Młynarski, idol mojego taty.

W 2066 roku, kiedy jak zwykle powiesz:
„Byłeś podobny do Tadeusza Borowskiego,
kiedy się golifeś”, a japoński służący,
podarowany nam przez znajomego pułkownika,
powita mnie już swoim: „Dzień dobry panu,

panie Tolstoj”, wypiję twoją doskonałą kawę,
podciągnę wyżej obsikaną piżamę, odwołam
ważne spotkanie z Dostojewskim [służący
z tego samego źródła] i pójdziemy do ogrodu
odkopać brzytwę, którą za chwilę tam zakopię.

1993

Niewąski tydzień

*Wiersz do antologii „Księgarnia Pań-
stwowego Instytutu Wydawniczego
przy ulicy Foksal w Warszawie we
współczesnej poezji polskiej”*

„Chodź, Lolitko”, szepcze
czule, szarpiąc
paczkę z plutonem
Lolitek, bo człowiek

o wyglądzie właściciela
większej ilości ogródków
strasznie potrzebuje jednej
na jutro. „Mogą być dwie”.

Jezu, żeby ten, który wnosi
paczki z Lolitkami
z ulicy, wniósł tu jeszcze
łóżko z ciepłą pościelą,
i żebym się w nim położył
i żeby ona usiadła w nogach,
w szlafroku, i żeby powiedziała
tym samym szeptem: „Skłamałam,

mówiąc: Pan Puzyna chyba
wzniósł wszystkie. Skłamałam,
a ty wyszedłeś stąd bez *Kamyków*”.
I żebym zasnął, zapominając
o egzemplarzu, którego nie zdążył
wynieść, i który już od lat
stoi tam, za mną, pośród czegoś,
o co nigdy bym nie zapytał.

I żeby Mogą Być Dwie
choć raz zapomniał reszty.

17 XII 91

Sarajewo w ogniu

*Zakochałeś się w tej wojnie,
czy co?*

A myślałem, że moja miłość
do napisów na grzbietach książek
nigdy nie wygaśnie. Franz

Kafka dopala się w rogu,
na podłodze. Masz oko,
trochę czytałeś i jesteś cwany,

w ogóle robisz wrażenie. Franz
Kafka prosił o to. Ale
dlaczego walnąłeś w Joyce’a?

Jamesa Joyce’a. Spodobało ci się.
Jeszcze kilka takich strzałów,
a zacznę zgadywać, kto będzie

następny. Przede mną
jedna z większych rewolucji
w prozie XX wieku; za mną

niezbyt gruba ściana; nade mną
raczej cienki parapet;

ja sam też nie należę

do gruboskórnych. Mam nadzieję,
że nie kręci się tam koło ciebie
jakiś spryciarz z grubszą rurą,

którego mógłbyś złapać za rękaw
i zachęcić do działania
słowami: „Widzisz tamto okno?

Pokazałem mu, z kogo zrzynał,
teraz ty mu pokaż,
jak wygląda koniec literatury”.

17 V 92

Płacz niemowlęcia

Mariuszowi Zbiciakowi

Jedno z tych, do niedawna
nic nie znaczących, słów,
słowo *avocado*,
przyśniło mi się,
ostatnio, okrutne
i spolszczone w sposób,
jakiego by się nie powstydzil
Miron Białoszewski. Konając,
zmuszony byłem odczytać je
w lustrze. Koszmar,
o którym można powiedzieć,

że pojawił się w porę,
że to jest jak dymanie córki
burmistrza,
że burmistrz ma dwie córki,
że prezydent też ma córkę,
że córka prezydenta urodziła
bliźniaczki,
że dymania jest na sto lat,
że *avocado*,
że nareszcie jest coś,
co mi się śni. Od niedawna.

Do niedawna śnił mi się
Trevor. Jakiś Trevor.
Podejrzany typ. Podobny
do tego, który nachodził
moją matkę i sprzedawał jej
opłatki. Dawno go tutaj
nie widziałem. Miałem
napisać wiersz
o Japonkach dla Mariusza.
Japonki są jak *avocado*.
Trevor coś o tym wie.

Udręka i ekstaza

Przygnębiony dużym zainteresowaniem,
z jakim w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie
spotyka się haiku [„Literatura na Świecie”,
1991, nr 1, s. 210–273], zastanawiam się,
czy jest jeszcze coś, co może mnie
tak przygnębić. Muszę przyznać,

że nie ma nic bardziej przygnębiającego
niż duże zainteresowanie,
z jakim w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie
spotyka się haiku [„Literatura na Świecie”,
1991, nr 1, s. 210–273]. Na szczęście,
masz dzisiaj lekcję religii,

z której się zerwiesz. Zrywaj się
i chodź tu do mnie, bo jestem przygnębiony
dużym zainteresowaniem,
z jakim w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie
spotyka się haiku [„Literatura na Świecie”,
1991, nr 1, s. 210–273]. Powiedz mi,

że mnie kochasz lub coś w tym stylu,
bo zrezygnowałem z papierosów,
żeby się źle poczuć
na wieść o dużym zainteresowaniu,
z jakim w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie
spotyka się haiku [„Literatura na Świecie”,

1991, nr 1, cena 9000 zł]. Weź papierosy,
jeśli mnie kochasz, bo jestem przygnębiony
dużym zainteresowaniem, z jakim w Polsce
spotyka się duże zainteresowanie,
z jakim w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie
spotyka się haiku [„Literatura na Świecie”,

1991, nr 1, nakład 15 000 egz.].

Nieudana próba wyjaśnienia auto- rowi „Balu manekinów” zasady dzia- łania telewizora

Nie chciałbym być chorwackim wariatem,
w Chorwacji rzucają bombami
w domy wariatów. Pozbawiają je
wody, elektryczności i okien,
co czyni beztroskie życie wariata
życiem pełnym niebezpieczeństw.

Niełatwo też być trąbką. Teraz,
gdy ten, który umiał grać na trąbce
umarł, trąbki opuszczają futerały,
tworzą wielkie stada
i wędrują poszukując miejsc, gdzie
już ich nikt nie zapluje.

Dobrze, że mi nie powierzono misji
utworzenia rządu. Po jakimś czasie
musiałbym zjeść polską kolację
z Margaret Thatcher, a wtedy
duch Bobby'ego Sandsa mógłby
nazwać mnie głupim skurwysynem.

Jeżeli mogę wybierać, to chcę być
Marianem Kociniakiem, udającym Mariana
Kociniaka, i z dłonią na piersi Grażyny
Barszczewskiej recytować twój wiersz
o dotykaniu ładnych piersi,
nie schodząc przy tym poniżej
pewnego poziomu. Śmiało, Bruno,
wyjmij młotek z szuflady
i walnij nim w tę panią, która
za chwilę użyje słowa „dobranoc”.
Jest od nas dużo mniejsza,
powinieneś dać sobie radę.

3 X 91

Legendarny Carlos

Chłopaki, legendarny Carlos
żyje. Od godziny
siedzi na przystanku
autobusowym przy ulicy
Kopernika,
który na pewno umarł.

Posługuje się polskim
dowodem osobistym,
wystawionym na niejakiego
Darka Foksa, i paszportem
na to samo nazwisko.
Dokumenty są kradzione.

Ponadto ma przy sobie
pióro, które może sprawić,
że poprosimy o wsparcie,
i stukartkowy zeszyt w linie,
zapisany atramentem,
który jeszcze nie zadziałał.

Przypuszczamy, że wsiądzie
do siódemki, bo tylko

siódemka może go zawieźć
do tej jego Meinhof,
którą nazywa Gzegzółką,
Malwinką i Rysiem.

Nasi ludzie, wyposażeni
w specjalne odznaki,
wsiądą na następnym przystanku
i walną legendarnego Carlosa
na jakieś dwie lub trzy
stowy. Przyślijcie ambulans.

Niewąski tydzień

Dzień, w którym runie Troja
porannego wzwodu,
a najszybszy chłopak w mieście
zapropnuje kolekcjonerom
kamienie z jej murów.

Dzień, w którym wejdziemy do sklepu,
weźmiemy zakładników
i powiemy glinom,
że tylko Clint Eastwood
jest w stanie im pomóc.

Dzień, w którym Eskimosi
dojdą do władzy, zimny powiew
zatrzyma nas w domach,
a starzy ludzie powiedzą,
że za wcześnie na zimę.

Dzień, w którym *Fiński nóż*
Andrzeja Bursy
zostanie wyparty
przez *Izraelskie uzi*
bezimiennego autora.

Dzień, w którym przestaniesz
twierdzić, że awangarda ciągnie,
i dołączysz do tych, co sądzą,
że popycha [bo popycha,
popycha, i popycha].

Dzień, w którym wypłynie Czapajew,
a góry, drzewa, niebo,
ptaki, paru starych kumpli
i taka jedna
powiedzą: „Czapajew wypłynął”.

I dzień, w którym Ezra Pound
nie wytrzyma, zejdzie z fotografii,
na której umieścił go
Henri Cartier-Bresson,
i trzepnie mnie po łapach.

Państwa nie ma

Konkwista

Jakaś niewydarzona misjonarka
życzy mi dobrego odbioru. Dziękuję
i wierzę, że mnie słyszy. Czasami
lubię uwierzyć w coś takiego.
Mija rocznica lądowania na Księżycu.

Wpatruję się w nie tknięte żółtko
i liczę lata. Myślę, że kiedyś
przyłapię ją na kłamstwie. Na razie
nic z tego. Mam pełne usta,
kiedy pukasz i wchodzisz,

nie czekając na zaproszenie.
Armstrong, gdyby mu wtedy
przyszło czekać na czyjeś „proszę”,
czekałby w nieskończoność. Nieudolnie
próbuję przełknąć to wszystko.

Ślad gumki znika z twoich pośladek.
Słońce wygrywa z budową
naprzeciwko i w zwolnionym tempie
dochodzi do siebie. My też
dochodzimy gdzie trzeba. Tylko

te głupie promienie czują się
niepotrzebne. I chyba mają rację. Wiesz,
wstanę i przesunę łyżeczkę;
są głupie, ale zawsze znajdą coś,
od czego mogą się odbić.

Otwierająca puszkę

Ciekawe, która z tych osławionych
ochotniczych formacji kobiecych
przeszkoliła ją [nauczyła polskiego,
itd.], przyczepiła do spadochronu
i zrzuciła, pierwszemu lepszemu,

w prezencie. Nie skaleczyła się,
i już się nie skaleczy:
kilka miesięcy intensywnego otwierania
puszek [mają tam takie
specjalne, puste, do otwierania]
robi swoje. Mam co robić. Umrę
i będę miał co robić. Zna szyfry,
których nigdy nie zdołam złamać.
A tu jeszcze ten. I ta duża torba.

Brakuje mu tylko transparentu
z napisem: *Kolego, coś dla Ciebie:*
CZYTAJĄCA LIST. Odejdź,
o tym się nie pisze,
to trzeba namalować. Odejdź,
powiedziałem, bo złamię ci szczękę.

Zachęcające warunki pracy

Wielki Instruktorze, czy nie powiedziałaś
jej, przypadkiem, co trzeba zrobić,

żeby włączyć poetę lat pięćdziesiątych?
Bez błędnie wypowiedziała formułę:

„Jeżeli masz coś tu, i tu, to wiesz,
co napisać”. Poczulem palec w sercu,

i w mózgu. Zwróć uwagę na kolejność,
Wielki Instruktorze. Wrobiłeś mnie:

włokę się jak ciężarówka zapchana świniami;
ręce mi drętwieją, kiedy słyszę ten kwik;

jak tak dalej pójdzie, wpadnę na pobocze
i zostanę rzeźnikiem. Wielki Instruktorze,

przestań strzępić jęzor bez potrzeby,
spróbuj zebrać myśli, i oświeć tych, którzy

wycinają drzewa, bo właśnie zjedli śniadanie
i nie mogą się zdecydować, czym popić.

Sprawa Szatowa

Tylko dlatego, że mi się podoba
Isabelle Huppert [Maria Szatow],
wyrwałaś, co było do wyrwania,
i narobiłaś niezmiernego hałasu,
posyłając do diabła ludzi,
którzy przecież zapłacili,
żeby zobaczyć, jak oni go
tam, w tym śniegu, a nie za
patrzenie na dupka, co zamiast
wstać i zamknąć za tobą drzwi,
opuścił głowę i jęczy:
„Chrupki! Oddaj chrupki!”

Odpooczynek podczas ucieczki do Egiptu

Znudzeni heroizmem lodówki
na kółkach, wzmożonym ruchem
zbieraczy butelek i
nie całkiem zgodną z prawem
działalnością ptaków,
podziwiamy makietę linii Maginota,
którą zbudował dla nas
jakiś cwany ślepiec. A potem,
wbrew nawoływaniom czajnika
do szybkiego rozejścia się,
postanawiamy przeprowadzić
jedną z tych akcji w stylu
późnogotyckich przepychanek Śmierci
z dziewczynami,
którą przerwie nam desant
grzanek z opiekacza.

Lepki obłąd

Nie odkryję Ameryki
mówiąc, że suwak
zrobi krzywdę
temu małemu szczęściarzowi,
który usiłuje dać ci znak,
że ze mną już sobie
poradziłaś.

Jeżeli jeszcze
poradzisz sobie z nadchodzącym
konduktorem, a
wypełniające nasze głowy
szuraniem butów
zdanie TĘDY PRZESZŁA
WARSZAWA straci czytelników,

to przejdziemy
do pierwszej klasy,
bo tam jest luźno,
i może uda nam się jakoś
ustalić, czy tabliczki,
które zabierasz na pamiątkę,
są dla tych, co zabierają je

na pamiątkę, czy też
dla tych, co na razie odkręcają
ogromne termosy,
a ruszą naszym śladem
dopiero wtedy, gdy je zakręcą
i gdy znów będzie można

policzyć drzewa,

dobra?

Piosenka ochlapanego

„Może zmajstrujemy jakiegoś malutkiego Orcia?”,
pytam, skoro już stoi obok
i nie chce odejść, a jej spodnie i koszulka
zachowują się tak, jakby na niej schły,
choć ma parasol i raczej przestaje padać.

Dzięki kroplom deszczu na moich okularach
wszystko dookoła chyli się ku upadkowi;
niewiele tego, ale i tak będzie niezły huk.
Od strony chylącego się ku upadkowi szpitala
nadjeżdża chylący się ku upadkowi autobus,

wzbogacając to moje wszystko o trochę czerwieni.
Jeżeli nic, poza jej ubraniem, nie chce
ze mną rozsądnie pogadać, to znaczy,
że nie czytała. Albo nie lubi. Trudno,
pójde całować żaby gdzie indziej.

Złorzeczę i podchodzę do krawężnika, myśląc
o nieodpartej potrzebie czynienia dobra,
zmuszającej nas do robienia różnych głupot,
i błogosławię twarze po drugiej stronie,
bo za chwilę pojadą całować traktory.

Państwa nie ma

Najprawdopodobniej
Galczyńscy nie sypiali
w tym łóżku. To samo
można powiedzieć
o rodzinie Watów.
Maria Dąbrowska

w ogóle mało spała
[opieram się
na badaniach kumpli
z podstawówki,
którym *Noce i dni*
znalazły pracę na kolei].

Człowiek przy bramie
długo szukał
naszego nazwiska
na swojej liście. Widział
twoje spojrzenie,
gdy wczoraj dotykałaś
drzwi. I wspomniał

coś o powrocie
dawnego właściciela.
Nie śpij z młotkiem.
Wyjmij gwoździe z ust,
bo zardzewieją.

Właśnie wracam
od stukniętego starca,
zwanego dalej
grawerem. Grawer
popija, więc
to musi trochę potrwać.

Mapa mi się kończy

Chryste, kotuś, zawsze ci się kończy,
kiedy dojeżdżamy. Zawsze ci się kończy,

kiedy garncarstwo daje zatrudnienie
licznym wieśniakom i zaczyna przynosić

znaczne dochody. Zawsze ci się kończy,
kiedy polewam wodą wieloryba.

Zawsze ci się kończy, kiedy pytam:
„Nie ma tam gdzieś stacji benzynowej?”

Zawsze ci się kończy, kiedy mówię:
„Przydałaby się jakaś stacja benzynowa”.

Zawsze ci się kończy, kiedy krzyczę:
„Poszukaj jakiejś stacji benzynowej!”

Zawsze ci się kończy, kiedy proszę:
„Jeżeli zauważysz jakąś stację benzynową,

to mi powiedz”. Zawsze ci się kończy,
kiedy tłumaczę to wszystko na angielski

i japoński. Zawsze ci się kończy,
kiedy mijamy dom ginekologa,

u którego siedzą co najmniej
trzy pacjentki, a kierowcy

w samochodach przed furtką rozmyślają
każdy o swoim pełnym baku,

bez którego wszystkiego mniej,
bez którego ani rusz (im się mapa

nie skończy). Zawsze ci się kończy,
kiedy trzeba zapisać dwie strony

(bo trzeba zapisać dwie strony,
a tobie się mapa kończy). Zawsze

mogła ci się skończyć wcześniej.

z VII 94

Wiersze o fryzjerach

Jako „najwybitniejszy przedstawiciel Szkoły Poezji Upierdliwej, która ostatnio święci takie triumfy”, zmuszony jestem przypomnieć ci, że obiecałaś skrócić moje włosy po powrocie. Dowolnie wybranym powrocie. Wróciłaś, a ja nadal nie mogę patrzeć w lustra. Trzy tysiące luster. Sto pięćdziesiąt tysięcy za sztukę.

Kiedy lustra nie schodzą, trzeba spróbować z wierszami. Trzy tysiące wierszy o fryzjerach. Tysiąc egzemplarzy. Dałem trzy lustra za egzemplarz i umoczyłem. Drugi rok chodzę po mieście, zaczepiam nie ostrzyżonych i jęczę jak sprzedawca poradników dla kobiet w ciąży. Podejdz bliżej i rzuć okiem na to:

„Tylko fryzjer i jego uczeń widzieli ostatnie tchnienie szeryfa. Był pierwszym, który chuchnął na lustro, za które dali całe pięć doliców. Takich rzeczy się nie zapomina. Tymczasem ten, który wiedział, że szeryf odepnie pas przed goleniem, zmierzał w stronę bezbronnego jak niemowlę banku”.

31 VIII 93

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/foks-wiersze-o-fryzjerach>

Tekst opracowany na podstawie: Foks Darek, *Wiersze o fryzjerach*, Multico, Lublin 1994

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów autora. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Jan Szejko, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

Okładka na podstawie: Benjamin Horn@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-5202-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły](#) na stronie Fundacji.